

# Zdzisława Józefa Rechul-Bytnar

---

## Moja rodzinna ulica - kolbuszowskie Nowe Miasto w początkach obecnego stulecia

---

Rocznik Kolbuszowski 5, 183-207

---

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

*Moja rodzinna ulica - kolbuszowskie Nowe Miasto w początkach  
obecnego stulecia*

Urodziłam się i wychowałam w Kolbuszowej, w domu, stojącym przy ulicy Nowe Miasto numer 10. Ulica ta powstała kilkadziesiąt lat wcześniej, otaczała okrężnie, półkoliście, miasto Kolbuszowa, skupione wokół rynku, ozdobionego kościołem parafialnym i wyciągnięte na południowy zachód wzdłuż dwóch głównych ulic, ulicy oficjalnie nazwanej ulicą 3 Maja, a nieoficjalnie Pańską i ulicy Sędziszowskiej. Ulica Pańska dzisiaj nazywa się ulicą Obrońców Pokoju, ulica Sędziszowska nazywa się ulicą Józefa Piłsudskiego, a Nowe Miasto pozostało Nowym Miastem i tworzy, tak jak tworzyło, jakby - zaścianek Kolbuszowej. Ludzie pobudowali na nim domy, swoje siedziby, z dwóch stron ulicy Nowe Miasto, zaczynającej się przy ulicy Sędziszowskiej, niewiele set metrów od rynku i idącej ku ulicy Pańskiej i ruszyli jeszcze nieco na południe od tej ulicy. Cała Kolbuszowa i jej okolice były niegdyś własnością bogatych panów feudalnych, Lubomirskich, Sanguszków i Tyszkiewiczów, spadkobierców Lubomirskich. Mieszkańcy miasta użytkowali ziemię tych panów i płacili im za to roczny czynsz. W połowie XIX wieku zostali zwolnieni od płacenia czynszu i miasto uniezależniło się od swoich dawnych dziedziców. Wnet najwyższą władzą stał się w nim starosta powiatowy. Tereny majątku książąt Lubomirskich i hrabiów Tyszkiewiczów oraz tereny innych, dużych sąsiednich majątków przynależnych do miast - Majdan, Raniżów i Sokołów, zostały zorganizowane w połowie XIX wieku, w powiat, okręg administracyjny ze starostą na czele. Po zniesieniu czynszów powstał w Kolbuszowej ustrój kapitalistyczny. Właściciele parcel i domów, mając dzieci, zostawiali im, odchodząc na zawsze, swoje posesje. Ci, albo spadkobiercy osób bezdzietnych albo użytkowali otrzymane posesje, albo sprzedawali je innym. Na Nowym Mieście hr. Zdzisław Tyszkiewicz, który zmarł niecałe dziesięć lat przed moim urodzeniem, oddał, jak powiadano, pewne kawałki urodzajnej tamtejszej ziemi, bujnie poroślej przez olbrzymie drzewa akacji, gminie miejskiej, magistratowi, który wydzielał z nich małe działeczki i oddawał je do zamieszkania wdowom i innym biedakom, którzy w pocie czoła dorabiali się własnego dachu nad głową i utrzymywali się przy życiu. Ale większość mieszkańców Nowego Miasta w Kolbuszowej, z okresu mojego dzieciństwa, kupowała tam swoje większe czy mniejsze posesje. Moi rodzice także kupili, prawie w środku ulicy Nowe Miasto, z lewej

jej strony, mały stary dom, z kawałkiem ogrodu, na krótko przed moim urodzeniem, marząc o zbudowaniu nowego domu. A żyli tylko z wysiłku własnych umysłów i rąk. Nie mieli ani skrawka pola i nie chowali krowy, konia i drobiu, co wówczas robili prawie wszyscy kolbuszowscy mieszczanie. Rodzina moja żyła bardzo skromnie, bardzo oszczędnie, ale przeważnie szczęśliwie i nie miała tej powszechnie, wtedy panującej biedy, którą mieli inni.

Przyszłam na świat jako czwarte dziecko Józefa Rechula, przybysza do Kolbuszowej i Józefy z Markusiewiczów, kolbuszowianki. Ojciec był urzędnikiem niższego stopnia najpierw w majątku hr. Tyszkiewicza i jego spadkobierców, potem, już w odrodzonej Polsce, w Urzędzie Skarbowym. Mama była rodzicielką i gospodynią domową. Moim starszym rodzeństwem był brat Roman Julian i siostry, Maria i Janina. Po mnie, urodzonej w pierwszym roku XX wieku, rodzina nasza powiększyła się jeszcze o sześcioro drobiazgu. Z tego brat i siostra zmarli w dzieciństwie. Dorosło nas ośmioro. Z tego jednak jeszcze, niestety, dwaj bracia, Roman i Marian, odeszli na zawsze, licząc sobie tylko po dwadzieścia lat. Roman zginął w 1916 r. jako żołnierz Legionów Polskich, walcząc na Wołyniu o wolność Polski.

Nazwałam kolbuszowskie Nowe Miasto - zaściankiem miasta. Taki charakter ma ono do dzisiaj. Kolbuszowa miała, w czasach mojego dzieciństwa, ponad trzy tysiące mieszkańców, w połowie Polaków - katolików, w połowie Żydów. Żydzi mieszkali zwarcie dookoła rynku, w trzech otaczających go uliczkach i na południe od rynku, w dzielnicy, nazywanej Kąty. Utrzymywali się z wyszynku alkoholu, z handlu i częściowo z rzemiosła. Stanowili swój odrębny, egzotyczny świat. Byli także porozrzucani i w innych miejscach, wśród katolików, a zwłaszcza opanowali rogi ulic, gdzie w stawianych domach zakładali sklepy. Polacy - katolicy mieszkali przy innych ulicach, przy ulicy Pańskiej, Sędziszowskiej, na Nowym Mieście i na Zakościelu. Inteligentów było wśród nich niewielu. Byli to księża przy kościele, nauczyciele, urzędnicy. Trzon mieszkańców stanowili mieszczanie, trudniący się rzemiosłem i uprawiający, w charakterze pomocniczym, małe gospodarstwa rolne. W dawnych wiekach rzemiosłem, najbardziej uprawianym przez katolików było stolarstwo. W drugiej połowie XIX wieku stało się nim szewstwo. Władze austriackie chcąc pomóc biednym Galicjanom, zlecały im wyrabianie obuwia dla ich armii.

Ulica Nowe Miasto była, przez cały czas mojego dzieciństwa i wczesnej młodości, piaszczystym traktem, przez który rzadko, tylko we wtorki i piątki przejeżdżały jakieś furmanki. Dla mnie ta ulica zaczynała się od ulicy Sędziszowskiej. W połowie jej, z lewej jej strony, odbijała także piaszczysta droga, wiodąca w dalszą część Nowego Miasta przede wszystkim do stojącej tam i funkcjonującej - rzeźni miejskiej. Kilka domów, które stały przy tej drugiej, piaszczystej, nowomiejskiej drodze, przy rzeźni, albo niedaleko od niej, tworzyły jakby jakiś - przysiółek. Przysiółek Nowego Miasta.

Wtorek był kolbuszowskim dniem targowym i czasem przejeżdżały w nim, przez Nowe miasto, jakieś furmanki. Przeważnie zaś w piątek wozili na furmankach do rzeźni, katolicy i Żydzi, zwierzęta rzeźne, przeznaczone na dnię świąteczne, sobotni żydowski i niedzielny - katolicki. Od wiosny natomiast do późnej jesieni, wędrowały, przez ulicę Nowe Miasto, cztery razy dziennie, krowy jej mieszkańców, zbierane *przez* gminnego pastucha rano i po południu i pędzone, przez niego, na gminne pastwisko na Błonie, za miasto, w kierunku Nowej Wsi oraz przyprowadzane z powrotem w południe i wieczorem. Lubiłam patrzeć, jak krasule, zbliżając się do domów swoich gospodarzy, same, świadomie, odchodziły od stada i kierowały się ku swoim oborom.

Przy wylocie ulicy Nowe Miasto do ul. Sędziszowskiej, po prawej stronie stał dom rodziny Kozów a po lewej dom Żyda Berka, (zabudowania te należały do ul. Sędziszowskiej). W domu Władysława Kozy, ojca rodziny, znajdował się urząd pocztowy, a Władysław Koza był jego naczelnikiem, czyli jak wtedy mówiono, poczmistrzem. Kozowie byli przybyszami do Kolbuszowej. Posiadali duży ogród kwiatowy i warzywny, dzierżawili kawałek pola i chowali krowę. Obydwoje udzielali się społecznie, on jako członek różnych towarzystw, ona jako wyborna aktorka amatorskiego zespołu teatralnego, działającego przy Towarzystwie Gimnastycznym "Sokół". Towarzystwo to posiadało nowo zbudowany budynek przy ulicy Pańskiej. Kozowie mieli troje dzieci, córkę i dwóch synów i oczywiście chcieli je kształcić jak najwyżej. Dzisiaj w tym domu mieszkają ich wnukowie, Mazurowie.

Początek ulicy Nowe Miasto, pod domem Kozów, Berka i trochę dalej na zachód, leżał w pewnym obniżeniu i przez większość roku stało w nim trochę wody, tworząc - bajoro. Większe obniżenie było za posesją Berka. Porastała je łąka i ciekła jego środkiem struga. Łąka należała do rodziny Leśniowskich i stanowiła zakończenie łąk, otaczających Nowe Miasto od południowego wschodu, ciągnących się na południe i przechodzących w pola. Łąki i pola odgradzały Nowe Miasto i ulicę Pańską od ulicy Sędziszowskiej i od odłączającej się od niej w pewnym miejscu ulicy Krakowskiej. Ulica Krakowska, w czasach mojego dzieciństwa, też była piaszczystą, wąską drogą, dopiero się rodzącą. Wspomniane bajoro utrudniało mieszkańcom Nowego Miasta dostęp do ulicy Sędziszowskiej. Omijali je więc, zrobiwszy sobie przed nim dróżkę ku tej ulicy, za dwoma domkami, które stały za posesją Kozów, z zachodniej jej strony, przy wejściu do Nowego Miasta.

Pierwszy mały, drewniany domek, stojący za posesją pp. Kozów należał do Walentego Ozimka i jego rodziny. Wynajmowało sobie w nim również mieszkanie głuchonieme małżeństwo. Każde z tej pary skończyło Instytut Głuchoniemych we Lwowie, umiało *czytać* i *pisać*. On był fryzjerem, ona zdolną krawczynią. Ubierała się gustownie i szyła modne kreacje z wiedeńskich żurnali, głównie młodym Żydówkom. Ja chodziłam do tego fry-

zjera co sobotę, z kartką od Ojca, wzywającą go do nas w każdy ranek niedzielny. Ogolił on naszego Tatę i podstrzygł to czy tamto dziecko.

Za domkiem Ozimka stał podobny domek, należący do Ogonków. Miał on dosyć szeroką sień i dwie izby po obydwóch jej stronach. Przez sień przechodziło się na przestrzał na tylne podwórko. Tak wtedy budowano. Izba po południowo-zachodniej stronie sieni była duża i w niej Ogonkowie mieszkali. Ogonek był szewcem. W komorze, znajdującej się po przeciwnej stronie sieni, zadomowiła się jakaś samotna Żydówka, która prawie nigdy nie wychylała nosa na Boży świat. Jadzia Ogonkówna była moją miłą koleżanką, ale nasze drogi życiowe rozeszły się<sup>1</sup>.

Za domem Ogonków przebiegała dróżka, ciągnąca -się od Nowego Miasta na północ, ku ul. Sędziszowskiej i rynkowi. Kończyła się ona pośród domów żydowskich. Nas, dzieci, zwłaszcza w jesienne wieczory, dziwnie korciło, żeby zrobić ich mieszkańcom chociażby małego, niewinnego psikusa. Zapukać w okno w ich piątkowy szabas, czy błysnąć w nie czymś świecącym i potem uciekać, ile sił w nogach.

Do osuszenia bajora, tworzącego się uparcie przy wejściu na Nowe Miasto, od ulicy Sędziszowskiej, przystąpiły władze miejskie chyba tuż przed I wojną światową. Wykopano długie, głębokie rowy, idące na wschód, przez Lancówkę, aż do rzeki Nil i ułożono w nich betony. Dzięki betonom podniósł się teren i odpływała z niego, z łąki Leśniowskich, woda. Gdy betony były ułożone, a jeszcze nie zakopane, my, dzieci, miałyśmy w nich mnóstwo zabawy. Przebiegałyśmy kilkakrotnie tunel, od wejścia do wyjścia, w ciemności, przełamując strach. Był to wyczyn nie lada. Ulica Nowe Miasto została wybrukowana dopiero w Polsce odrodzonej, w końcu 1918r. Droga idąca od niej do nowomiejskiego przysiółka do dzisiaj jest piaszczysta.

Za domem Ogonków stała duża stodoła Żyda, którego dom znajdował się przy ulicy Pańskiej, a posiadłość sięgała aż do Nowego Miasta<sup>2</sup>. Teren tutaj był dosyć niski, a z lewej strony ograniczało go wzniesienie, jakby skarpa. Przycupnęła na tej skarpie mała chatka rodziny Szorców, biedaków. Wchodziło się do niej po dużych, obsuwających się głazach. Nie wiem, z czego żyli Szorcowie do roku 1911. Gdy w tym roku otwarto w Kolbuszowej Prywatne Gimnazjum, zrobiono starego Szorca jego stróżem, woźnym. Chłopcy - urwisy przezwali go - Sztorcem. Z czasem starsze dzieci Szorca powyjeżdżały, za chlebem, do Ameryki, najmłodsza zaś córka wyszła za mąż za Sobczyńskiego, szewca i potomkowie jej mieszkają na tym miejscu do dzisiaj<sup>3</sup>.

1 Później rodziny Ogonków i Ozimków połączyły się przez małżeństwo i dzisiaj miejsce po ich domach stanowią jedną parcelę. W głębi parceli stoi duży dom, należący do sióstr Heleny i Marii z Ozimków Mazurkiewiczowej i Janczykowej.

2 Dzisiaj ten teren należy do rodziny Rymanowskich.

3 Weronika, córka Szorcówny i Sobczyńskiego wyszła za mąż za Czyżewskiego. Czyżewscy postawili na miejscu dawnej chaty, piętrową kamienicę, wciśniętą pomiędzy parcele sąsiadów.

Za Szorcami zbudowali swój dom, przed moim urodzeniem, małżonkowie - Stanisław i Anastazja Gawronowie. On był przybyszem, ona kolbuszowianką z zamożnych Winiarskich. Dom ich był duży, zasobny, z okazałym gankiem, S. Gawron był bowiem urzędnikiem i z żoną nie posiadali dzieci. Wychowywali u siebie Janinę Siekierską, siostrzenicę pani Anastazji, którą odwiedzałam często po sąsiedzku. Obydwie chciałyśmy się uczyć, zostać nauczycielkami i dążenia te udało się nam zrealizować. Anastazja Gawronowa jako jedyna z kobiet na Nowym Mieście paliła papierosy. Uważano ją za zarozumiałą, bo nie zbliżała się do żadnej z mieszkańek ulicy, sąsiadek. Nigdy od nikogo nic nie potrzebowała, nikogo nie odwiedzała ani nigdy nie wyszła, letnim wieczorem, posiedzieć na ławce przed którymś z domów, pogadać, poplotkować, pośmiać się, co robiły inne kobiety. Zawsze była w głębi swojego domu, oddana jego sprawom, a czasem i lekturze gazety. Długo cieszyła się życiem i zdrowiem<sup>4</sup>.

Za Gawronami była posesja Aleksandra Winiarskiego, stolarza, nazywanego Ksandziem, albo, po ojcu - Walciem. Był bowiem synem Walentego i Julii z Mazurkiewiczów. Mazurkiewiczowie i tenże Walenty Winiarski byli stolarzami - artystami. Znali i wykonywali sztukę intarsji, pięknego ozdabiania mebli mozaikowymi wzorami z kawałeczków różnokolorowego drewna. Meble kolbuszowskie słynne były w XVII i XVIII i jeszcze w XIX wieku na wszystkich ziemiach polskich i poza nimi. Parę ich sztuk mieli najpierw Lubomirscy, potem Tyszkiewiczowie w kolbuszowskim dworze, a pewnie i w innych pałacach. Mazurkiewiczowie i Winiarscy robili je, potem konserwowali. Walenty Winiarski mieszkał z rodziną obok miejskiego folwarku Tyszkiewiczów, folwarku nazywanego Podsobnim, przy obecnej ulicy wiodącej w kierunku Rzeszowa. Może on, a może Ksandziu, kupił sporą parcelę na Nowym Mieście i pewnie Ksandziu wybudował na niej, przy ulicy, trzyizbowy dom. Izby były w amfiladzie, wzdłuż, jedna obok drugiej. W czasach mojego dzieciństwa pan Ksandziu mieszkał w dwóch izbach od strony zachodniej. Wchodziło się do nich przez mały, dobudowany ganek. Ojciec jego już nie żył i matka mieszkała, na Nowym Mieście, razem z nim. W domu przy ul. Rzeszowskiej pozostało młodsze rodzeństwo p. Ksandzia. On, mając z sobą matkę, długo się nie ożenił. Pracował, był bardzo sympatyczny, łagodny, ludzki, pobożny, chodził na wszystkie odpusty do okolicznych miejscowości i należał do Bractwa Różańcowego oraz do Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół". Miał zdjęcie w mundurze sokolim, tak jak i mój Ojciec. Warsztat posiadał wybudowany w podwórku. Okna izb mieszkalnych ozdobił sobie grupkami wyrzeźbionych ptaszków, kolorowo pomalowanych. My, dzieci, podziwialiśmy je. Natomiast mój Ojciec lubił wpadać, wieczorami, zwłaszcza jesiennymi, do warsztatu pana Ksandzia na pogawędkę o polityce i o sprawach miasta. Znajdował tam chwilę spokoju od domowego harmidru.

4 Dzisiaj dawny dom Gawronów należy do Jana Ziółkowskiego, przybysza z Przedborza.

W pierwszej z izb domu Aleksandra Winiarskiego mieszkał, w czasach mojego dzieciństwa, Michał Winiarski, stryj pana Ksandzia z liczną rodziną. Miał on przydomek, przezwisko — Swierczek i niby był stolarzem, niby szewcem, ale, najchętniej, nic nie robił. Miał zaś oryginalną jedną z córek, Wiktorię Ludwikę, przeszło dziesięć lat starszą ode mnie, dosyć urodziwą. W wieku piętnastu czy szesnastu lat, zamiast siedzieć w domu z macochą i bawić przyrodnie rodzeństwo, wyruszyła - na podbój świata. Miała ona bowiem w sobie wzmożone siły bioenergetyczne, które pozwalały jej, nieraz, przepowiedzieć coś z przyszłości, czy coś niewidzialnego dla innych. W Kolbuszowej robiło ją to dziwną osobą. W świecie okazało się to użyteczne. Wiktoria pojechała najpierw do Wiednia. Znalazła tam kulturalnego, zasobnego opiekuna, inżyniera, który, podobno, zabrał ją w podróż do Indii, gdzie poznała czarodziejskie praktyki i zrobiła się jasnowidzącą oraz chiromantką, osobą wróżącą ludziom z ich pisma. Zapożyczyła sobie imię - Gizela od arcyksiężniczki austriackiej, córki "miłościwie nam panującego" cesarza Franciszka Józefa I. W Kolbuszowej nazywano ją szaloną Gizią albo - kabalarką. Po paru latach zjawiała się tutaj z wizytą u ojca. Przyjechała fiakrem, ubrana elegancko, niczym hrabina, w kapeluszu ze strusim piórem, w jedwabnej, szumiącej sukni i w lakierkach. Sprawiała ojcu porządny garnitur, melonik na głowę i obwoziła go swoim powozem po okolicy. Miała kartę wizytową z napisem "Madame Gizela". My, dziewczątka z Nowego Miasta, wyczekiwałyśmy chwili, gdy wychodziła z domu, żeby zobaczyć ją z bliska, napawać się oglądaniem jej stroju i fryzury. Inna gawiedź miała temat, na dłuższy czas, do plotkowania. Później, już w II Rzeczypospolitej, Gizia kupiła ojcu i jego rodzime dom, także na Nowym mieście. Wtedy mieszkała ona w Krakowie, była wziętą chiromantką i podobno, lubianą osobą. Była dobrym człowiekiem. Nie wyszła za mąż, pomogła zaś niejednemu z rodzeństwa i z dalszej rodziny ułożyć sobie życie, wyjść, jak się wtedy mówiło, na ludzi<sup>5</sup>.

Za domem Aleksandra Winiarskiego była znowu posesja, która sięgała od ulicy Pańskiej do ulicy nowe Miasto. Była dosyć szeroka, a należała do mężczyzny o nazwisku Józef Buczek i jego żony Franciszki. Małżeństwo to przyjechało z Rzeszowa i nie miało dzieci. Józef Buczek cieszył się powszechnym szacunkiem, było bowiem wiadomo, że w młodości uczestniczył w walce o Polskę w Powstaniu Styczniowym. Ubierał się jeszcze po szlachecku, w popielatą czamarę do kolan, suto ozdobioną szamerunkami, na głowie nosił kołpak z czaplim piórem, na nogach buty z cholewami. Z postaci jego promieniowały szlachetność i patriotyzm. Popierał wszelką działalność społeczną. Należał do Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół" i był aktywny przy budowie gmachu "Sokoła", ukończonej w 1905 roku.

5 Aleksander Winiarski żył w latach 1869-1965. Nie miał dzieci. Posiadłość jego przejęli Stygowie, krewni jego żony, przybysze do Kolbuszowej.

W jego domu stojącym przy ul. Pańskiej znalazła pomieszczenie powstała Spółdzielnia Rolnicza "Pług", która po jego śmierci opanowała całą posesję. W moim dzieciństwie część tej posesji, przytykającą do ul. Nowe Miasto, porastały drzewa owocowe i była ogrodzona mocnym, wysokim płotem. W owym czasie chłopcy z mojego sąsiedztwa lubili wyprawiać się wieczorami na cudze jabłka, jednak ogród powstańca styczniowego omijali<sup>6</sup>.

Za ogrodem Józefa Buczka znajdowało się przy ulicy Nowe Miasto gospodarstwo Jana Jabłońskiego, ojca mojej najlepszej przyjaciółki, Gieni. On uchodził za jednego z najbogatszych, wówczas, mieszczan kolbuszowskich. Jego starszy brat Franciszek, nazywany Francem, mieszkał tuż w pobliżu niego, drugi zaś brat, Stanisław, miał posiadłość przy ulicy Sędziszowskiej. Jan uchodził za dumnego człowieka, niezbyt życzliwego, przychylnego ludziom. Był średniego wzrostu, w starszym wieku stał się otyły i nazywano go "Kotłem". Żonaty był z Anną Skowrońską i posiadał kilkoro dzieci. Najstarsza córka, Maria, urodziła się w końcu XIX wieku, najmłodszym dzieckiem był syn Henryk. Gienia Jabłońska była moją rówieśnicą, towarzyszką dzieciennych zabaw., koleżanką ze szkoły ludowej i z czterech pierwszych klas gimnazjalnych. Ona jednak, więcej niż ja, musiała pracować w domu i ja jej w tym chętnie pomagałam. Jan Jabłoński był rzeźnikiem, masarzem, handlował bydłem, zwłaszcza nierogacizną i posiadał duże gospodarstwo rolne. Pole miał częściowo blisko Nowego Miasta, częściowo dalej, w kierunku Błonia. Dom jego, stojący prawie naprzeciw mojego, posiadał - przedpokój od ulicy i trzy pokoje, kuchnię, komorę i dobudowany warsztat masarski od tyłu. Był więc dosyć duży i okazały. Za nim, w głębi podwórza, stały jeszcze większe zabudowania gospodarcze, z ciemnego, smolistego drzewa, stajnia dla konia, obora dla krów, chlewy, kurniki, stodoła z boiskiem, na którym dokonywano młócenia zboża. Z boku, bliżej domu stał wysoki, murowany, okazały spichlerz, podobny do takich, jakie bywały po dworach, jedyny tego rodzaju obiekt na Nowym Mieście. Przechowywał w nim, Jan Jabłoński, zboże, ale także, jak i w komorze, uležane słoniny i dosyć duże, okrągłe, powiązane bochny sadła. W opisywanym przeze mnie czasie, ludzie ze wsi lubili maścić kapustę podsuszonym, trochę woniejącym sadłem.

Jan i Anna Jabłońscy ubijali, co tydzień, dwie czy trzy świnie i cielęta, robili wędliny i sprzedawali je, w domu przed niedzielą, na straganie na rynku w Kolbuszowej w czasie wtorkowego jarmarku, w poniedziałek na jarmarku w Majdanie i chyba jeszcze na innych jarmarkach. Jan prowadził skup trzody chlewnej w powiecie dla bekoniarni w Dębicy. Pomagali mu w tym skupie zubożeni mieszczanie, rzeźnicy, przeważnie z rodu Winiarskich, czy mniej zamożnych Jabłońskich. Tych pomagierów, naganiaczy,

6 Józef Buczek miał przyjechać do Kolbuszowej z Rzeszowa. Zmarł tutaj w 1923 r. w wieku 85 lat. Istnieje tutaj jeszcze pewien ślad pamięci po nim.



nazywano z niemiecka "trajbrami". Kupcy bydła i nierogacizny bardzo się bogacili, kupowali bowiem sztuki "na oko", bez wagi, niewiele płacąc hodowcom - chłopom. "Trajber" kupując wieprzka, podnosił go do góry za ogon i określał jego wagę. Rzeźnictwo było zawodem najbardziej popłatnym. Stąd Jan Jabłoński, sam chyba nie umiejąc dobrze *czytać* i *pisać*, mógł kształcić, jak to robił, większość swoich dzieci. A posiadał on jeszcze duże gospodarstwo rolne. W polu pracował parobek, a w czasie żniw najmowano ludzi. W domu pomagała służąca.

Mania i Gienia Jabłońskie pomagały w domu. Doglądały młodszego rodzeństwa, czasem coś gotowały, pod nieobecność rodziców, sprzątały. No i dobrze się uczyły. Lubiłam im towarzyszyć i włączać się do ich pracy. Obierałam ziemniaki, pomagałam robić zacierkę na mleku. Gdy trzeba było iść w pole, zanieść obiady czy napoje osobom suszącym siano, albo żeńcom, pomagałam koleżankom. Czasem brałyśmy ze sobą młodsze rodzeństwo, a potem, z jaką uciechą, wracałyśmy, jadąc na furze ze snopkami *zboża* czy z sianem.

Trzymały się nas różne figle i psoty. Były to lata szczęśliwego dzieciństwa. W zimie miałyśmy choinki, chociaż nie zawsze były one ubrane cukierkami. Wieszano się najwięcej kolorowych bibulek<sup>7</sup>.

Za domem Jana Jabłońskiego ulica Nowe Miasto skręcała w kierunku zachodnim. Przy zakręcie stał schludny domek rodziny Olszańskich. Przodkowie tej rodziny byli zamożnymi kolbuszowianami, pielęgnującymi tradycje szlacheckiego pochodzenia. W okresie mojego dzieciństwa Olszański był organistą parafialnym. Następnie wyjechał z rodziną gdzieś w świat. Domek kupił od niego Wiktor Winiarski, mający dom rodzinny nieopodal, z drugiej strony ulicy. Był on synem Michała, także zamożnego rzeźnika i kupca bydła. O domu Michała będzie mowa poniżej i o innych jego dzieciach, które były starsze ode mnie o około dwadzieścia lat. Dzięki wspomnianemu Wiktorowi Winiarskiemu i jego żonie, Wiktorii z Dudzińskich, ja spełniłam moje wielkie marzenie - zostałam uczennicą kolbuszowskiego Gimnazjum. Oni przyjęli mnie do swojego domu w czasie wakacji 1911 r., gdy moi rodzice budowali nasz nowy dom i dali mi - pięć koron, na wpisowe gimnazjalne. Byli małżeństwem bezdzietnym. Wiktor Winiarski został, pod koniec II Rzeczypospolitej, burmistrzem miasta Kolbuszowa. Wtedy mieszkał z żoną już w domu po ojcu Michale, a dom po prawej stronie ulicy Nowe Miasto, na jej zakręcie, kupiła od niego rodzina Jakuba Burkiewicza, szewca. Spalił się on, jak i kilka innych, sąsiednich, w wieczór dnia 9 września 1939 r., po bitwie polsko-niemieckiej.

Za domem Olszańskich znajdowała się duża parcela Franca Jabłońskiego, brata Jana. Dotykała na północnym wschodzie parceli J. Buczka, bar-

<sup>7</sup> Gospodarstwo Jana Jabłońskiego na Nowym Mieście w II Rzeczypospolitej przejął jego zięć, Marian Chodorowski. Jego zabudowania spaliły się w dniu 9.IX. 1939 r. podpalone przez Niemców. Pozostał tylko spichlerz i stoi do dzisiaj.

dziej zaś na południe parceli ostatnio wymienionego Jana. Dom Franca Jabłońskiego i jego żony, nazywanej zawsze Francowa oraz ich dzieci, stał w północnej części parceli, blisko ulicy Pańskiej.

W moim rodzinnym domu żyło nas cztery córki i chłopcy, w domu Jana Jabłońskiego były cztery córki i chłopcy i w domu Franców także były cztery córki i chłopcy. Z mojego domu brat Roman i ja dostaliśmy wykształcenie średnie, z domu Jabłońskiego pięcioro dzieci, trzy córki i dwaj synowie dostali wykształcenie średnie, a jeden z tych synów dostał wykształcenie wyższe, prawnicze. Z domu Franciszka Jabłońskiego, jego żona, gdy została wdową, dała wykształcenie średnie dwóm córkom.

Franciszek Jabłoński był masarzem, kupcem nierogaczyni i właścicielem gospodarstwa rolnego, podobnie, jak i jego brat Jan. Życie w jego domu było prowadzone podobnie, jak i w domu Jana. Dzieci, dorastając, pomagały rodzicom. Miał trzech synów. Żona jego, Konstancja Nowicka, pochodziła z zamożnego domu. Była bardzo godną, zacną, dzielną i pracowitą kobietą. Mąż chyba nie dorównywał jej pod tym względem. W 1918 r., przy końcu I wojny światowej, przydarzyło mu się nieszczęście w interesie. Padło mu wielkie stado świń, w które zainwestował posiadane pieniądze i on - popełnił samobójstwo. Wielkiej i bogatej rodzinie Jabłońskich przyniosło to wielką plamę na honorze. Niektórzy szeptali, że powód samobójstwa był inny. Konstancja Francowa została z siedmiorgiem dzieci i z dużym gospodarstwem rolnym. Dalej prowadziła masarstwo, uprawiała ziemię i prowadziła dom. Wtedy to dwóm młodszym córkom dała wykształcenie średnie. Gdy we wrześniu 1939 r. spalił się jej dom i zabudowania gospodarcze, zbudowała sobie, z synami, drugi, mniejszy. Janina, jej córka, została moją bratową<sup>8</sup>.

Za posesją Jabłońskich, już pod boki ulicy Pańskiej, stały, nieco oddalone od ulicy Nowe Miasto, bokiem do niej, dwa żydowskie domy. W jednym starsza już kobieta, Naftulka, prowadziła sklep z artykułami spożywczymi i towarami gospodarstwa domowego. Przed domem jej i drugim, stojącym naprzeciw, był dosyć duży pusty teren porośnięty murawą, przecięty wydeptaną ścieżką. We wtorki na plac ten zjeżdżały się chłopskie furmanki, które przywoziły nabiał, drób, zboże. Chłopi sprzedawszy swoje towary, kupowali u Naftulki to, co potrzebowali z jej sklepu. W drugim domu mieszkała jakaś rzemieślnicza rodzina żydowska.

Za wymienionymi domkami, w poprzek do ulicy Nowe Miasto, stały jeszcze dwa kolejne małe budynki. W jednym mieściła się akcyza i mieszkał naczelnik Nowosielski z rodziną. Akcyzą nazywano podatek, płacony od kupowanych towarów. Płacili go, chyba, właściciele sklepów. Elżunia Nowosielska była moją koleżanką ze szkoły ludowej. Czasem zapraszała ona mnie do siebie, gdy zdobyła jakieś szmatki, resztki materiałów, na

<sup>8</sup> Posesja ta dalej należy do rodziny Jabłońskich.

stroje dla lalek. Byłam, w tym względzie, pożądaną osobą, gdyż umiałam, wówczas, i bawić się i modnie ubierać lalki. Gdy skończyłyśmy czwartą klasę szkoły ludowej i wybierałyśmy się do gimnazjum, Elżunię wysłano do krewnych w Przemyślu i tam chodziła do szkoły średniej. Przyjaźń nasza rozwiązała się. W drugim domu mieszkał Żyd Nussbaum z rodziną, handlował zbożem i drzewem. Domy te, w II Rzeczypospolitej przestały istnieć. Na ich miejscu powstała narożna kamienica adwokata Kotuleckiego.

Przedstawiłam domy, które stały, w czasach mojego dzieciństwa, z prawej strony piaszczystego traktu, nazywanego ulicą Nowe Miasto i ich mieszkańców. Teraz przedstawię domy i niektórych ludzi z lewej strony ulicy nowe Miasto, również zaczynając od ulicy Sędziszowskiej.

Wspomniałam już, że na lewym rogu ul. Sędziszowskiej i Nowego Miasta znajdowały się dom i zabudowania Żyda Berka, sklepikarza. Dom miał blaszany dach i chłopcy - łobuzy dziwnie lubili rzucać w ten dach kamieniami<sup>9</sup>. Potem była łąka Leśniowskich. Dzisiaj ta łąka jeszcze jest. Prawym jej brzegiem szła ścieżka, początkowo równoległa do ulicy Nowe Miasto. Skracająca ona drogę do rzeźni miejskiej, stojącej w południowo-zachodniej stronie Nowego Miasta, w grupce domów, które nazwałam przysiółkiem tego miasta. Dzisiaj ścieżka ta nie istnieje. Następnie stał dosyć duży, oczywiście drewniany jak inne, dom nie mający podwórka ani ogródka. Mieszkał w nim Edward Boroński, szewc, z rodziną. Rodzina przybyła ze Lwowa. Michalina Borońska, żona Edwarda była akuszerką. On miał duży warsztat, ona zarabiała, w domu ich był prawie, że dobrobyt. Mieli pięcioro dzieci. Troje z nich, córki Maria i Natalia oraz syn Waław, byli starsi ode mnie, zaś Elżbieta i Edward byli nieco młodsi. Staliśmy się gronem serdecznych przyjaciół. Borońscy chcieli kształcić wszystkie dzieci w szkołach średnich. I wykształcili. Córki ich i syn Waław zostali nauczycielami. Razem z Waławem poszedł do Gimnazjum w Łańcucie mój brat Roman. W parę lat później razem zgłosili się jako ochotnicy do Legionów Polskich. Waław długo w nich nie był, mój brat był i zginął w nich, niestety. Starsi Borońscy wnet dorobili się i kupili dużą parcelę przy ulicy Pańskiej, obok Szkoły Żeńskiej, po czym wybudowali na niej porządny, okazały dom z gankiem. Dom na nowym Mieście sprzedali. Kupił go Michał Czochara, jakiś krewny mojego Ojca, pochodzący, tak jak i mój Ojciec, od Sokołowa, nazywanego dzisiaj Małopolskim. Nasza przyjaźń z Borońskimi trwała. Gdy w 1921 r. zostałam matką synka Janka, Waław Boroński był jego chrzestnym ojcem<sup>10</sup>. Michał Czochara dostał pracę woźnego w starostwie. Służąc w wojsku austriackim był kucharzem, a w Kolbuszowej najmował się do przygotowywania uczt weselnych. Miał kilkoro dzieci, młodszych ode mnie.

<sup>9</sup> Dzisiaj na miejscu domu Berka stoi murowany dom Winiarskich.

<sup>10</sup> Waław Boroński pracował w II Rzeczypospolitej na Kresach Wschodnich i zginął w 1940 r. w ZSRR, w ramach zbrodni, określanej wspólnym mianem Katynia. Dawny jego dom rodzinny przeszedł, przez małżeństwo panny Czochara w ręce Narowskich.

Za domem Borońskich - Czocharów znajdowała się posiadłość rodziny Turków i Biesiadeckich. Stary Turek był też przybyszem do Kolbuszowej i pewnie trudnił się masarstwem. Pewnie miał synów, ale dorósłszy, zdobyli oni inne domostwa, gdzie indziej. Parcela Turków była mała, miała kilka czy kilkanaście arów. Szczególnie wąska była przy ul. Nowe Miasto, potem, na lewo od niej, ku łące Leśniowskich, trochę się rozszerzała. Za mojej pamięci żyli na tej parceli - trzy siostry Turkówny, Maria, Ludwika i Katarzyna oraz Wojciech Biesiadecki, mąż Katarzyny i przychodziły na świat dzieci Katarzyny i Wojciecha Biesiadeckich. Początkowo wymienione osoby mieszkały w małym domku, stojącym przy ulicy, pozostałym po starych Turkach. Katarzyna Biesiadecka była Krawczynią i szyła odzież dla żydowskiej biedoty. Maria, starsza od Katarzyny, jeszcze w ostatnich latach XIX wieku wyszła za mąż za Franciszka Żelichowskiego i miała córkę. Mąż i to dziecko zmarli tragicznie. Maria była drobną kobietą, tak jak i jej siostra Ludwika. Gospodarowały one razem. Maria najczęściej posługiwała u Borońskich, gdy Borońska chodziła lub wyjeżdżała do pólógów, Ludwika zaś starała się o mięsne podroby i kości w rzeźni czy u znajomych masarzy i robiła z nich kiszki - kaszanki oraz studzienę (galaretę), które sprzedawała w kramie na rynku i gdy ktoś przyszedł do niej do domu. Z początkiem XX wieku Wojciech Biesiadecki, nazywany "Kwaśnym", zburzył stary dom i zbudował, na jego miejscu, nowy. Ponieważ parcela była wąska, postawił dosyć duży dom, ale krótszym bokiem do ulicy. Wtedy Maria, nazywana Mańcią i Ludwika zapragnęły posiadać własny dom na stare lata, nie mieszkać u szwagra. Pracowały, składały grosz do grosza i skleciły sobie dwuizbowy domek w południowej części parcelki, liczącej chyba trzy ary ziemi, tuż przy łące Leśniowskich. Osoby te żyły bardzo cicho i pracowicie, a my, dziewczęta, biegałyśmy do nich po "sztrulki", kostki z nówek wieprzowych, które służyły do specjalnej gry, często wtedy uprawianej wśród dzieci<sup>11</sup>.

Zaraz za domem Turków - Biesiadeckich stał przy ulicy Nowe Miasto, frontem do niej, dom wdowy Golińskiej i jej syna Ignacego. Dom był Dom był tradycyjny, mieszczański, z sienią na przestrzał i z dwoma izbami po obydwóch stronach sieni. Z sieni wchodziło się po drabinie przez odpowiedni otwór na strych. Zmarły mąż Golińskiej był szewcem, zaś syn pracował jako polowy na błoniu, czyli stróż tamtejszego terenu. Błonie, wielki obszar ziemi za miastem, od strony zachodniej, podarowała niegdyś, w XVIII wieku, kolbuszowskiej gminie miejskiej, księżna Lubomirska w celu wspomżenia biednych mieszczan. Część ziemi, z kraju, od drogi, użytkowana była jako pastwisko. To tutaj pasły się krowy, czasem i konie miesz-

<sup>11</sup> Domek Marii i Ludwiki Turek przejął, po ich zgonie, Marian Biesiadecki, jeden z synów Wojciecha i Katarzyny. Jego wnuk dobudował do niego połowę kamienicy. Dom zbudowany przez W. Biesiadeckiego kupiła w II Rzeczypospolitej Gizela Winiarska. Dzisiaj mieszka w nim jej przyrodnia siostra Janina Golisowa z córką.

czan, zbierane, także z Nowego Miasta, przez pastucha gminnego. Dalsza część ziemi podzielona była na kilkunastoarowe działki, nazywane stajaniem czy stajenkami i oddawane w dzierżawę, pod uprawę, starającym się o to mieszczanom. Dzierżawić mogli tylko kolbuszowscy mieszczenie z dziada pradziada, czyli "pniakom". Polowy, opłacany przez gminę, pilnował porządku na Błoniach, żeby nikt nie poniósł tam żadnej szkody. Był on dumny ze swojej funkcji, bardzo służbisty i mało otwarty dla ludzi, stąd jego przeciwnicy nazywali go "Chamynek", co tłumaczyli jako - więcej niż cham. Golińska chowała jedną krowę i kilka kur<sup>12</sup>.

Za domem Golińskich stał duży dom, przedzielony sienią na dwie połowy. Musiał on powstać jako zamożny, mieszczański dom, ale nie wiem czy on był. W moich, kolbuszowskich czasach mieszkały w nim dwie, biedne już siostry oraz syn jednej z nich ze swoją rodziną. Siostry były już w podeszłym wieku. Jedna nazywała się Golisowa. Miała dzieci w Ameryce, a utrzymywała się z wykonywanego ludzioru prania. Druga, Marianna Burkowa, szła tandetę, to znaczy brała od Żydów skrojoną bieliznę, zszywała przykrojone kawałki, wykańczała, przyszywała guziki i dostawała nędzną zapłatę od sztuki. Obydwie te kobiety nie umiały czytać i pisać i ja czytałam im listy, przychodzące od ich dzieci ze świata i pisałam na nie odpowiedzi. Na ostatnią niedzielę każdego miesiąca robiły one specjalne porządki w swojej izbie, gdyż w tę niedzielę odbywały się w niej - zmiany tajemnic Bractwa Różańcowego, żeńskiego. Schodziła się tutaj pewna ilość starych kobiet, pomodliły wspólnie i wymieniały, pomiędzy sobą, kartki z modlitwami. Otrzymałą modlitwę odmawiały codziennie wieczór przy pacierzu. Po zmianie tajemnic, w letniej porze, wylęgały na ławki wynoszone przed dom i kończyły spotkanie zwyczajnym plotkowaniem na temat swoich bliźnich. Z drugiej strony domu mieszkał, w dwóch izbach, Bolesław Burek, syn Marianny, z rodziną. On nawet nie mieszkał, bo w opisywanym czasie pojechał do Lwowa w poszukiwaniu pracy. Znalazł pracę w tramwajach, chciał zabrać do siebie żonę i dzieci, ale młoda Burkowa nie bardzo chciała jechać. Ona zajmowała się także krawiectwem i utrzymywała, prawie że sama, czwórkę dzieci. Syn jej, Walerek, był moim rówieśnikiem i także lubił, tak jak i ja, uczyć się i czytać książki. Żartobliwie łączono nas w parę. Jednak Burkowa w końcu pojechała z dziećmi do Lwowa i moje koleżeństwo z Walerkiem skończyło się. Dzisiaj tego domu Golisów i Burków już nie ma. Pozostała po nim pusta parcela.

Za budynkiem przedstawionym wyżej, znajdował się, przy ulicy Nowe Miasto - mój rodzinny dom. Najpierw była to mała i stara chata, potem nowy, czteroizbowy dom, przykryty dachem z blachy, zbudowany w rekordowym tempie, w ciągu wakacji 1911 r. Za domem był spory kawałek podwórka i ogrodu. Z prawej jego strony, od ulicy, znajdował się również skrawek ogródka kwiatowego. W domu tym żyło nas przeważnie dziesięć-

12 Parcelę po Golińskich kupił p. Szafraniec, w nuk M. Biesiadeckiego.

cioro czy dziewięcioro osób, a najważniejszą z nich był oczywiście nasz Ojciec. On tylko pracował zarobkowo na utrzymanie rodziny, był jej głową, panem i dobrodziejem. Matka nasza pracowała w domu od świtu do zmroku, chowała nas, gotowała, prała, szyła ale jej pracy się nie liczyło. Liczył się tylko Ojciec, który utrzymywał nas ze swojej pensji i był bardzo pracowitym, dobrym, życiowo mądrym, światłym, czytany, otwartym dla wszystkich człowiekiem.

Czasem, przed różnymi świętami z siostrami wyczyściliśmy wszystkie buciki, jakie były w domu, co najmniej ze dwadzieścia par, a Ojciec, popatrzwszy na nie, mówił z frasunkiem "i to ja jeden muszę na to zarobić". Kochaliśmy go za to, staraliśmy się nie robić Mu kłopotów, przykrości, nawet hałasu, kiedy był w domu. Ale przecież, różnie to bywało. On pracował w biurze, poza domem, od godziny ósmej rano do godziny osiemnastej wieczorem. Przynosił ze sobą jeszcze coś do zrobienia, jakieś papiery, jakieś podliczania niekończących się, opętanych szeregów liczb, czy pisanie protokołów. W razie powiększenia się wydatków w domu, szukał dodatkowego zajęcia. Zapracowywał się dla nas do siódmego potu i miał ambicję, żeby wychować nas na porządnych ludzi. Mając piękne, kaligraficzne pismo, pełnił funkcje sekretarza w różnych instytucjach. Pracował także społecznie. Był członkiem Ochotniczej Straży Pożarnej. W razie jakiegoś pożaru ubierał się w jej mundur, wkładał kask, przypasywał pas z toporkiem, zabierał konia Janowi Jabłońskiemu, żeby ciągnął beczkowóz i szedł na wzywający go głos trąbki. Ojciec był członkiem Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół". Zachowało się jego zdjęcie w mundurze sokolim. Uczestniczył w pracach "sokołów". Należał do amatorskiego zespołu teatralnego przy "Sokole" i grywał w nim jakieś role.-Robił coś w komitetach rodzicielskich szkół, w których pobieraliśmy naukę. Kochał książki i gazety. Prenumerował gazetę "Ilustrowany Kurier Codzienny". Przynosił ją do domu listonosz Kuraś i Ojciec codziennie, wieczór, ją czytał. Pismo to posiadało, w sobotnim numerze, dobry dodatek literacko-kulturalny. Nasz Ojciec zbierał te dodatki, zszywał je, składał, jak i jakieś książki, do domowej biblioteczki. Kazał nam je czytać, ale pilnował, żebyśmy je nie poroznosili. Mówił nam o Polsce. Gdy w święta państwowe trzeba było dekorować okna portretem "miłościwie nam panującego Franca Józefa I" i oświecać portret świecami, Ojciec zawsze pilnował, żeby obok portretu stał krzyż Chrystusowy. Z książek kupił nam Ojciec sensacyjne wówczas powieści Rinaldo Rinaldini, Marietta, córka galernika i inne. Zaspokajały one nasz głód wiedzy, przygód, erotyki, estetyki. Co drugą niedzielę, po południu, po nieszporach, odwiedzali Ojca koledzy, żeby pograć w karty i porozmawiać. Przychodzili: Andrzej Lisiak, mąż jednej z Dudzińskich z ul. Sędziszowskiej, Bazyl Borecki, Naja, Franciszek Brandt, Swoboda, urzędnicy, a gdy brakło gracza do kompletu, wzywano mnie. Grano w preferan-sa. Mama przygotowywała na to spotkanie herbatę i jakiś placek. Skrom-

nie, żeby nie nadwerężyć domowego budżetu. Ojciec strzegł tego budżetu z ołówkiem w rękę. Nie wolno nam było zaciągać długów. Ojciec zawsze nam mówił, na co zostanie wydana przyniesiona przez Niego pensja. Uczył nas szanowania wszystkiego, co posiadaliśmy i cieszenia się tym.

Ojciec starał się, żeby dzieciństwo nasze było szczęśliwe. Regulował sprawy naszej nauki, pomocy dla domu i rozrywki. W zimie mieliśmy sanki, na letnie dni huśtawkę w ogrodzie. W gorące dni lata nalewał ojciec, przed pójściem do pracy, wody do blaszanej wanny, żeby ogrzała się w słońcu, a my mogli zażywać kąpieli. Mieliśmy w domu piłkę, gry, jak domino, warcaby, kręgle. Jednak od wiosny do jesieni, najlepsze były nasze zabawy na polu. Przed drugim domem za nami, domem Franciszka i Jana Markusiewiczów, naszych krewnych była porządna, betonowa studnia, a wokół niej znajdował się mały plac. Plac ten był ulubionym miejscem naszych, zwłaszcza wieczornych, zabaw. My, dziewczęta, bawiłyśmy się w ojca Wirgiliusza, w ciuciubabkę, w farby, w komórki do wynajęcia i w wiele innych. Chłopcy bawili się w "przerywane wojsko", biegali za fajerką lub jakimś kołem. Ich jednak, przede wszystkim, interesowali prawdziwi żołnierze, węgierscy huzarzy, którzy stacjonowali w kasarniach - koszarach, na folwarku Kłodniczkówka obok ulicy Sędziszowskiej. Byli to mężczyźni dobrani, dobrze odżywieni, pięknie odziani, pełni dobrego humoru. Chłopcy biegali oglądać ich. Ale grywali także w kiczki, w guziki, w palanta. Wieczorne zabawy przerywali rodzice, wołając nas do domu, do spania. Rozchodziliśmy się z żalem, żegnając do następnego dnia. W domach zaraz zasypialiśmy kamiennym snem<sup>13</sup>.

Dopełnieniem szczęścia mojego dzieciństwa było to, że na wiosnę 1911r. spełniło się moje marzenie i zostałam zapisana do kolbuszowskiego Gimnazjum. Nauka w nim odbywała się poza Nowym Miastem. W tym zaś wspomnieniu chcę pisać tylko o domach i ludziach z tego zaścianka czy przysiółka, z moich dziecinnych lat.

Za moim rodzinnym domem stała chata z małymi okienkami, przykryta słomianym dachem. Mieszkała w niej samotnie wdowa Budzyńska. Jej dzieci także wyjechały do Ameryki. Czasem napisały list, a ona była niepiśmienna. Czytałam jej więc przychodzące do niej listy i odpisywałam na nie. Pani Budzyńska nie żyła długo. Gdy zmarła ktoś zburzył jej dom a drzewo z niego rozprzedał na opał. Miejsce po tym domku długo było puste. Dopiero po II wojnie światowej powstał tu jakiś budynek.

Potem był dom Franciszka Markusiewicza, a właściwie już jego syna Jana. Był nieduży, ale dobrze utrzymany. Dzieci i Franciszka i Jana, którzy pewnie byli szewcami, powyjeżdżały do Ameryki. W Kolbuszowej pozostała jedna córka Jana, niewiele ode mnie starsza, która później wyszła

13 Z. Rechul- Bytnar i całe jej rodzeństwo wyjechali z Kolbuszowej. Józefa z Markusiewiczów Bytnarowa zmarła w Kolbuszowej, Józef Rechul zmarł, w Polsce Ludowej, u córki Marii w Dębicy. Dom ich kupiła rodzina Sidorów.

za mąż za Stanisława Dudzińskiego, fryzjera i mieszkała na ul. Sędzi-szowskiej. Jeden z jej braci powrócił, w odrodzonej Polsce do kraju, ale zamieszkał w Bydgoszczy, gdzie otworzył duży sklep z konfekcją damską i męską. Sklep szedł dobrze i syn pomagał ojcu. Jan Markusiewicz był poważnym, pełnym godności obywatelem, z sumiastym wąsem, zapalonym strażakiem. Przed jego domem była studnia, przy której bawiliśmy się. Za domem Markusiewiczów i stojącym naprzeciw niego, z drugiej, północno-zachodniej części ulicy Nowe Miasto, ulica ta półkoleście zakręcała w prawo. Natomiast *zaraz za* płotem tego domu była piaszczysta droga, która wiodła do rzeźni miejskiej i grupy domów, które na początku wspomnienia nazwałam - przysiółkiem. Domy tam przeważnie były bez ogródków, ukryte pośród olbrzymich drzew starych akacji. Ziemia tam była żółto-popielato-piaszczysta, gdzieś tam porośnięta ubogą trawą. Mieszkańcy chowali tam kozy.

Zaraz za płotem posesji Markusiewiczów, od jej strony wschodniej znajdowała się dosyć duża parcela, a na niej stary już dom Michała Winiarskiego i jego żony. Michał był również masarzem i kupcem nierogaczyny, a więc zamożnym człowiekiem, w czasach mojego dzieciństwa już nie młodym. Miał czworo dzieci, ale w omawianym czasie każde z nich było już na swoim chlebie. Nie wiem, które z dzieci były starsze, córki czy synowie, ale wiem, że starszy syn Marian Antoni urodził się w 1880 r. i w czasie mojego dzieciństwa był już nauczycielem w kolbuszowskiej Szkole Męskiej. Był nauczycielem bardzo szanowanym, surowym, wymagającym. Mieszkał on wtedy w tym samym nowomiejskim przysiółku, w drugim domu od domu rodzicielskiego. Miał dwie siostry. Jedną z nich, Albina, była wydana za Antoniego Nowickiego, kowala, zamieszkałego na skraju wsi Kolbuszowa Górna. Konstancja Nowicka, za mężem Francowa Jabłońska, o której już wcześniej wspominałam, była siostrą tego Antoniego. Jednym z dzieci Antoniego i Albiny Nowickich była Leontyna, Lola Nowicka, wnuczka Michałostwa Winiarskich, moja koleżanka szkolna.

Nie wiem z jakiego domu pochodziła Michałowa Winiarska, ale była to godna, poważna kobieta, bardzo szanowana. Mąż jej też był szanowany. Mieli pole, chowali krowy. Gdy potrzebowali pracowników w pole, do suszenia siana, żniw czy kopania ziemniaków, ona wychodziła na ulicę i głośno to oznajmiała. Zaraz usłyszeli to sąsiedzi, przyszli w pole Winiarskich i zrobili co było potrzeba. Obydwaj synowie Michałostwa nie mieli dzieci. Miały je córki. I te wnuki Winiarskich przychodziły do nich, zwłaszcza wnuczki, wracając ze Szkoły Żeńskiej. Ja chodziłam do nich z Lola. Babcia Loli hojnie karmiła nas jajecznicą, wędliną, ciastem, a na obiad smażonymi kurczętami. Dla mnie to była uczta, bo w domu jedliśmy skromnie. Jaką smutną było sprawą, gdy tacy wspaniali ludzie wymierali, jak inni<sup>14</sup>.

14 Dzisiaj posesja po Michale i jego synu Wiktorze Winiarskich należy do Matuchów.



Zaraz na prawo, za domem Michałostwa Winiarskich, za jego płotem, stał mały, dwuizbowy domek wdowy Anny Żelichowskiej i jej córki Marii, za mężem Widuchowskiej. Stał w cieniu olbrzymiej akacji. Mąż A. Żelichowskiej pracował na folwarku Tyszkiewiczów, ale młodo zmarł, zostawiając już dwojgiem dzieci, z synem Franciszkiem i córką Marią. Franciszek ożenił się ze wspomnianą Marią Turkówną i też, bardzo młodo zmarł. Anna Żelichowska zarabiała na utrzymanie siebie i dzieci, sprzedając na rynku, na wiosnę nasiona, później owoce. Jakoś ubierała trochę pieniędzy i wybudowała sobie omawiany domek, pokryty gontowym dachem. Jej córka Maria jeszcze jako dziecko poszła do Żyda nauczyć się krawiectwa. Została specjalistką od szycia męskich koszul. Szyła też ładnie i sukienki. W siedemnastym roku życia wyszła za mąż za Jana Widuchowskiego, kolbuszowianina. Pierwsze ich dziecko, córka Wilhelmina, była niewiele młodsza ode mnie. Drugim dzieckiem był chłopiec. Widuchowski wkrótce pojechał za pracą do Ameryki. Widuchowska, osoba wysoka, przystojna, czarnowłosa, dbała o przyzwoity wygląd siebie, dzieci i domu. Brała za szycie tanio, a robiła modne kreacje. Zwracało się do niej, w sprawie szycia, dużo Żydówek. Ona była bardzo pobożna i honorowa. Miała silny i bardzo ładny głos. Gdy śpiewała w kościele, słychać ją było w całej świątyni<sup>15</sup>.

Za domem Żelichowskiej szła dróżka do jednego domu, stojącego bardziej na południe. Mieszkała w nim rodzina Szkurów. Szkura był urzędnikiem i swoje dzieci, nieco starsze ode mnie, kształcił poza Kolbuszową. Córki zostały nauczycielkami. Za dróżką, obok domu Żelichowskiej, stał dom rodziny Jabłońskich, nazywanych "Dziadziśiami". Ojciec i synowie w tej rodzinie byli szewcami, ale stugębna plotka głosiła, że nie prowadzą się porządnie, pili wódkę i grali hazardowo w karty. Dziewczęta wcześniej wysłano na służbę Dom dwustronny, czteroizbowy, z sienią pośrodku. Sień miała, jak zawsze wówczas, drzwi z jednego i drugiego końca. W jednej z izb z południowej strony domu wynajmowała sobie mieszkanie Julia Czyżewska, biedna, samotna osoba, nazywana "Dyćkówną", która utrzymywała się, podobnie jak wspomniana wyżej Ludwika Turkówną, z wyrobu i sprzedaży kiszek - kaszanek i studzieniny. Za domem tych Jabłońskich znajdowała się rzeźnia miejska.

Rzeźnia miejska była długim budynkiem, ogrodzona wysokim parkanem z desek. Miała dwie hale rzeźne i mieszkanie dla stróża. W jednej hali zabijano zwierzęta dla kolbuszowian - katolików, w drugiej, koszernej, rytualnej, zabijano krowy czy woły dla Żydów. Stała również jakaś obora dla chwilowego przechowania zwierząt, przeznaczonych na ubój. Ścieki z ubojni niby sływały do szamb, ale ciągle przelewały się przez nie i sływały ku łąkom, powodując nieprzyjemny fetor, zwłaszcza w lecie<sup>16</sup>.

15 Dzisiaj na miejscu tym stoi wspaniała kamienica Rzepków.

16 Władze miejskie zlikwidowały rzeźnię na Nowym Mieście w początkach II Rzeczypospolitej, a zbudowały nowy jej budynek przy ul. Sedziszowskiej, za drogą na stadion sportowy. W Polsce Ludowej i tę rzeźnię zlikwidowano. Zwierzęta przeznaczone na spożycie kolbuszowian zabija się w Dębicy.

Za rzeźnią stał jeszcze, przy drodze, mały domek starej panny, noszącej nazwisko - Wojewoda. Miała ona mały płachetek pola, który uprawiała i chowała kozy. Biedne, żydowskie dzieci z miasta, chore na gruźlicę, przychodziły do niej i piły kozie mleko, świeżo udojone, gdyż uważano je za lecznicze.

Drogę przez przysiółek Nowe Miasto zamykał domek Piotra Zielińskiego, stojący w poprzek do drogi, w kierunku południowo-zachodnim. Zieliński - ośmielił się przyjść do miasta, kupił tu, z pewnością, kawałek pola, wybudował się na nim, na reszcie gospodarował, chowając krowę, czy nawet dwie. Później z córką jego ożenił się Henryk Niezabitowski, szewc. Dzisiaj Niezabitowscy dalej mieszkają w tym miejscu.

Za domem P. Zielińskiego znowu stały trzy czy cztery domy, frontem do piaszczystej drogi, z prawej jej strony, przeciwnie do tej, po której stała rzeźnia. Ciągnęły się one w kierunku ulicy Nowe Miasto. Najpierw był mały, stary domek pod gontowym dachem, biało pobielony, należący do rodziny Koczoniów, nazywanych "Tobiaszami". Miał sieni i z lewej strony izbę, a z prawej komorę. Gliniana polepa w sieni, zamiast podłogi, znajdowała się nisko i próg domu leżał wysoko. Drzwi były niewielkie, jedno skrzydłowe, zamykane na skobel tak, jak to bywało we wszystkich starych domach. Domek otaczały wysokie akacje. Mężczyźni w nim znowu byli szwecami, kobiety pasły krowę i kozy, robiły w polu. Jedną z dziewcząt, młodsza ode mnie, nazywana "Czarną Helą, została w późniejszym czasie krawczynią. Z domu tego dochodziły odgłosy kłótni, przekleństw i ludzie ci byli dla nas nieciekawi<sup>17</sup>. Nie pamiętam, czy obok "Tobiaszów" był już wtedy dom Biesiadeckich, w którym na początku II Rzeczypospolitej ożenił się Stanisław Winiarski, szewc. Dzisiaj ten dom należy do córki Stanisława i jej potomków. Nieco dalej stał dosyć duży i okazały na owe czasy dom drewniany, pokryty chyba blachą, w którym mieszkał wspomniany już wcześniej Marian Antoni Winiarski, syn Michała, z żoną Anną. Popularnie nazywano go "Antosiem". Był on, w okresie mojego dzieciństwa, bardzo ambitnym i młodym nauczycielem Szkoły Męskiej i działaczem społecznym. Działał w Towarzystwie Szkoły Ludowej (TSL), w Towarzystwie Gimnastycznym "Sokół", w Towarzystwie Mieszczańskim "Przyjaźń", współreżyserował przedstawienia i wygłaszał prelekcje w czasie uroczystości państwowych czy patriotycznych. Żona jego była, podobno, naturalną córką Zdzisława hr. Tyszkiewicza i dostała spory posag. Modnie, gustownie się ubierała i odgrywała rolę wytwornej damy. W stosunku do otoczenia była miła i uprzejma.

Małżonkowie "Antosio" Winiarscy nie mieli dzieci. Zapraszali więc do siebie siostrzenice pani "Antosiowej", dziewczynki Przywarówny z Kolbuszowej Dolnej. Najczęściej bywała u nich urodziwa Janina, która poszła

<sup>17</sup> Dzisiaj na miejscu domku Koczoniów stoi wielka kamienica pp. Ziębów. Zajęła ona także część drogi publicznej.

do gimnazjum, a potem, już w II Rzeczypospolitej, wyszła za mąż za pana Darłaka, kolegę "Antosia", urzędnika wyższej rangi. Ja chodziłam do omawianego domu z Lola Nowicką bawić się. Miałam respekt przed gospodarzem, jako nauczycielem i podziwiałam dom, na owe czasy dobrze urządzony. Miał on salon z miękkimi mebelkami, pokój gościnny, kuchnię, jadalnię, sypialnię. "Antoś" przygotowywał dziewczęta do Seminarium Nauczycielskiego, ale wcześniej, w sierpniu 1914 roku, współdziałał w werbowaniu ochotników do Legionów i odwiózł ich do Lwowa. Był wśród nich mój brat Roman. Do seminarium zaś, za mojej pamięci, przygotował - Marię i Gienię Jabłońskie, Elżbietę Borońską, Jankę i Józję Siekierskie i Lolę Nowicką<sup>18</sup>.

Obok domu "Antosia" Winiarskiego była posesja Michała Saramy i jego rodziny. Przy domu Winiarskiego rozciągał się i do dzisiaj rozciąga się ogród posesji Saramów. Dom Saramów stał i stoi nadal w północnej jej części, na rogu piaszczystej drogi, która prowadziła do rzeźni i ulicy Nowe Miasto. Dom dosyć duży, czteroizbowy stał frontem do ul. Nowe Miasto. Od tyłu miał dobudowane, z lewego boku, dwie izby, znajdujące się obok siebie, wzdłuż. W domu Saramów mężczyźni znowu byli szewcami, a córki, starsze ode mnie, szyły tandetę. W dwóch dobudowanych izdebkach mieszkały jakieś dwie kobiety, ale nie pamiętam, jak one się nazywały i z czego żyły. Żyły biednie, jak inni<sup>19</sup>.

Za domem Saramów były zabudowania gospodarstwa Stanisława Dudzińskiego, nazywanego "Kulawym", bo miał kulawą nogę, albo "Woźniakiem". Zdaje się, że przed Stanisławem mieszkał w tym miejscu człowiek o nazwisku Woźniak. Stanisław był szewcem i miał trochę ziemi, którą uprawiał. Miał dwa domy. Jeden, w którym mieszkał stał i do dzisiaj stoi w pewnym oddaleniu od ul. Nowe Miasto, w głębi podwórzy, za domem Saramów. Teraz dom ten ma ze dwieście, albo i więcej lat. Osobliwością jego było to (i jest dalej), że obora dla dwóch czy trzech krów mieściła się pod jednym dachem z izbami mieszkalnymi ludzi. W domu tym coś dzieci zmarło, chociaż biedy nie miały, a czterech żyjących chłopców było w wieku mojego starszego i młodszego rodzeństwa. Drugi dom Stanisława stał przy ul. Nowe Miasto, bokiem do domu Saramów. Wynajmowano go lokatorom za miesięczny czynsz. Był on nowszy i lepiej wyposażony. Za mojego dzieciństwa wynajmowali go Jan Grabowski i Siekierski, pracownicy Urzędu Skarbowego. Stanisław Dudziński zmarł w początkach I wojny światowej, a wdowa po nim męczyła się gospodarstwem i nauczaniem trzech młodszych synów ojcowskiego rzemiosła. Kazimierz Józef, najstarszy syn,

18 Marian Antoni Winiarski wyjechał, w II Rzeczypospolitej do Brześcia nad Bugiem, gdzie pracował w Kuratorium Oświaty. Dom na Nowym Mieście sprzedał. Kupił go Żyd Ollbaum (czyt. Elbaum), właściciel mydlami. Dzisiaj w domu tym, przerobionym mieszkają Gindowie.

19 Dzisiaj mieszka w tym domu Saramówna za mężem Chechelska z rodziną.

był już w czasie tej wojny żołnierzem, najpierw austriackim, potem polskim. Został podoficerem<sup>20</sup>.

Za nowszym domem Dudzińskich stała dosyć duża drewniana willa, otoczona ogrodem, dobrze zagrodzona, z zawsze zamkniętą furtką. Nie było w niej moich rówieśników i moja osoba dostępu do niej nie miała. Pewnie mieszkali w niej Żydzi. Bo willa stała już prawie na rogu Nowego Miasta i ulicy Pańskiej. Na samym rogu był jeszcze jeden dom żydowski, niezbyt duży. Jego właściciel prowadził warsztat szewski.

Na zakończenie moich dzieciennych wspomnień z Nowego Miasta w Kolbuszowej, chcę wspomnieć o kolbuszowianach - Żydach. Dzisiaj nie chce mi się wierzyć, że nie ma ich tam, ani na lekarstwo. W dawnych czasach stanowili połowę mieszkańców miasta i byli bardzo inni od nas. Żyli w swoich domach, jak w zamkniętych twierdzach, niechętnie odnosząc się do gojów, czyli do obcych. Prawdą jest, że różni niepoważni, czy nawet nieuczciwi Polacy ich nie szanowali, nie uważali za przestępstwo wyrządzenie im szkody, przykrości. Tak było od wieków, a w Kolbuszowej, rozbestwieni chłopci dokonali, w dniu 6 maja 1919 r., wielkiego pogromu tej nacji, zabijając kilku czy kilkunastu z nich i rabując ich sklepy. Stąd Żydzi byli nieufni i niechętnie wpuszczali goja za próg swojego mieszkania. Musieli ich wpuszczać do sklepów, bo żyli głównie z prowadzenia handlu. Domy żydowskie znajdowały się zwarcie w rynku i w ulicach otaczających rynek, gdzie indziej zaś, w innych ulicach, były porozrzucane wśród domów katolickich i katolicy mogli obserwować ich życie codzienne. Także świąteczne. Ja też, zawsze, ciekawie im się przyglądałam. Mężczyźni żydowscy na co dzień jeździli za towarem, a w domach i sklepach pracowały Żydówki. Sklepy miały połączenie z domem mieszkalnym oraz dzwonki nad drzwiami. Żydówki przebywały w domu, wykonując czynności gospodarskie, gdy dzwonek, poruszony otwieranymi drzwiami, zadzwonił, wychodziły, z domu do sklepu i obsługiwały klienta. Był to najtańszy, najbardziej ekonomiczny handel na świecie. Żydówki były cichymi, skromnymi kobietami, oddanymi rodzime. Gdy brały ślub, obcinano jej włosy i robiono z nich perukę. Potem prawowierna Żydówka również miała mieć ogoloną głowę. Na co dzień nosiła chustkę, na święto zakładała perukę. Mężczyźni nosili chałaty, długie czarne suknie, na głowie zaś najpierw mieli małe, okrągłe czapeczki, nazywane jarmułkami a z niemiecka - myckami, na nich zaś czarne kapelusze. W zimie ubierali się w czarne, długie płaszcze. Na nogi najczęściej zakładali półbuty i dziwne, białe pończochy. Byli, przeważnie, śniadej cery, pociągali na twarzach. Starsi nosili długie, wczesnie siwiejące brody. Jadali dużo cebuli i czosnku i zalatywały od nich zapachy tych warzyw. U biednych Żydów, a tych było najwięcej, pościel była źle

<sup>20</sup> Starszy dom S. Dudzińskiego stoi do dzisiaj. Mieszka w nim jego syn Mieczysław z rodziną. Młodszy dom, który stał przy ulicy spalił się w dniu 9.IX. 1939 r. Spaliły się też wtedy domy, które stały poza nim na Nowym Mieście i domy przy ul. Pańskiej.

utrzymana, i pierze przedostawało się im we włosy. Mężczyznom zwisały znad uszu skręcone loki, nazywane pejsami. Święte religijne księgi żydowskie pisane były w języku hebrajskim i tego języka uczono małych Żydków w szkole, czy raczej w przedszkolu, nazywanym hederem, a popularnie -hajderem. Na co dzień, w Polsce, a chyba i w całej Europie, Żydzi mówili językiem jidisz, będącym gwarową, zniekształconą niemczyzną. Mężczyźni żydowscy, często spotykający się małymi grupkami, czarno ubrani, z brodami, pejsami, szwargocący niezrozumiałym językiem, stanowili postrach dla dzieci katolickich i może dlatego rodziła się w tych dzieciach chęć dokuczenia im. Trzeba także zaznaczyć, że wszyscy Żydzi bardzo przekręcali, kaleczyli język polski, gdy nim mówili. Dlatego nie szanowano ich, naśmiewano się z nich, nazywano kacapami, parchami.

Dniem żydowskiego święta, nazywanego popularnie szabasem (a właściwie szabatem) była sobota. Święto zaczynało się w piątek, po zachodzie słońca. Na święto to z pietyzmem się przygotowywali. W piątek wieczór musieli mieć rybę na słodko, z cebulą i rodzynkami i słodką bułkę, chałę, a w sobotę na obiad rosół z kury. Czasem wypili po kieliszku "pejsachówki", najczęściej lekkiej śliwownicy. Szabas zaczynali głośnym uderzeniem w modły. Mężczyźni zakrywali przy tym głowy szalami o białych i czarnych pasach. Oni też szli w sobotę do bożnicy, ich świątyni. Żydówki szły do bożnicy dwa czy trzy razy do roku. Robiły to w jesieni, na Sądny Dzień. Na szabas zakładały na głowę i szyję biżuterię, różne diademy, łańcuchy. W przekłute uszy wkładały ciężkie, kosztowne kolczyki. Na głowę zakładały czarne, koronkowe, przetykane srebrem szale. Żyd nie wziął w święto pieniądza do ręki, a wiele Żydówek nie wzięło, w sobotę, nawet zapałki do ręki. Mały Żydek w ósmym dniu życia był obrzezany, w piątym roku życia chodził do chederu, potem szedł do polskiej szkoły. Skończywszy osiemnaście lat mógł się żenić, czy nawet miał już obowiązek się żenić. Małżeństwa były u Żydów swatane przez specjalnych, opłacanych swatów. Przeważnie były one traktowane jako interes rodzinny. Ślubu na ogół udzielał rabin, będący jak gdyby żydowskim kapłanem. Młodzi stawali pod baldachimem, najczęściej na wolnym powietrzu, na podwórzu, czy w ogrodzie. Ponieważ żydowskie ogródki bywały małe, nieraz baldachim stawał obok śmietnika czy nawet gnojowiska, które bywały przy każdym domu. Młodzi przyrzekali sobie wspólne życie. Ważnym aktem było stłuczenie przez nich szklanych kieliszków. Potem odbywało się przyjęcie i tańce. Tańce miały charakter korowodów w kole, z różnymi zwrotami i wysuwaniem rąk i nóg. Rodzice zakładali młodemu małżeństwu jakiś interes i - mieli żyć.

Większość Żydów w Kolbuszowej w czasach mojego dzieciństwa była biedna, ale i tutaj trafiali się bogaci Żydzi, mający hurtownie towarów, dzierżawiący monopole, czyli prawo sprzedawania spirytusu czy tytoniu. W dużych miastach było więcej takich bogaczy. Byli oni już w Rzeszowie, którego Polacy żartobliwie nazywali Mojżeszowem. Niektórym katolikom podobały się Żydówki i trafiało się, że katolik ożenił się z Żydówką, która

brała chrzest. Odwrotnie chyba nigdy się nie zdarzyło. Matki Żydówek wychodzących za mąż za katolików bardzo ciężko to przeżywały. W Kolbuszowej zdarzyło się, że śliczna Miriam, córka Żydówki, posiadającej centralną trafikę (hurtownię tytoniową) w mieście, miała romans z kolbuszowianinem, przyjęła wiarę katolicką i wzięła z nim ślub. Matka Miriam nie mogła tego przeżyć i utopiła się w studni.

Takie to były różne wydarzenia w Kolbuszowej i na jej Nowym Mieście w okresie mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Szczęśliwe to dzieciństwo przerwał wybuch I wojny światowej, który nastąpił z początkiem sierpnia 1914 r. W parę dni później były organizowane, w Krakowie i we Lwowie, Legiony Polskie, mające walczyć o odbudowanie państwa polskiego. Mój brat Roman udał się do nich, razem z innymi kolbuszowianami. W miesiąc później zbliżały się do nas wojska rosyjskie, Moskale. Propaganda austriacka głosiła, że są to bardzo okrutni ludzie i urzędnicy oraz zamożne osoby uciekały przed nimi na Podkarpacie czy dalej, do Austrii. Jan Jabłoński uciekł z rodziną. Moja rodzina nie uciekała. Widziałam przybyłych Moskali. Sotnie kozackie pędzące na koniach po naszych ulicach. Po jakimś czasie odeszli i znowu przyszli na kilka miesięcy. Już za pierwszym pobytem rozbili spichlerz Jana Jabłońskiego, brali z niego sadła i słoninę i gotowali, tak że na Nowym Mieście brakowało, po domach - garnków. Za drugim ich pobytem zaczęły się - głód i choroby zakaźne. Później powrócili Austriacy. Jeszcze później dowiedzieliśmy się o śmierci naszego Romka w Legionach. W domu zagościł smutek. Potem powstała - Polska. A ja - przestałam być dzieckiem.

#### Pierwsze lata Prywatnego Gimnazjum w Kolbuszowej /1911 - 1916/

W XX wieku rozpoczęła się w świecie wielka rewolucja naukowo-techniczna. Postępował rozwój nauki i techniki i upowszechnianie ich wśród ludzi. Zamożne czy zamożniejsze osoby pragnęły kształcić swoje dzieci w szkołach średnich i wyższych. Tendencje te przyszły i do Kolbuszowej, małego, ale powiatowego, galicyjskiego miasta, ukrytego pomiędzy lasami, do którego można się było dostać tylko konnymi furmankami. Dzieci zamożniejszych osób, urzędników, bogatszych mieszczan i chłopów były, wtedy, posyłane na naukę do gimnazjów albo seminariów nauczycielskich w Krakowie, Dębicy, Rzeszowie, Łąncucie, a od 1905 r. i w Mielcu. Było to jednak uciążliwe dla rodziców pod względem materialnym i napawało ich troską o dzieci, oddane z domu w obce środowisko, o ich zdrowie moralne. Rewolucja naukowa postępowała i sprawiła, że w 1910 r. kolbuszowscy inteligenci postanowili utworzyć i w Kolbuszowej własną szkołę średnią, prywatne, klasyczne, ośmioklasowe, jak wtedy obowiązywało, Gimnazjum. Na czele tych inteligentów stanęli: Henryk Welfe, inspektor szkolny i ks. Jan Markiewicz, miejscowy dziekan i proboszcz. Gimnazjum w Kolbuszowej musiało być prywatne, czyli utrzymywane z miesięcznych opłat, uiszczarnych

przez rodziców uczniów za ich naukę. Nauka w prywatnej szkole była droga, jednak i tak bardziej się opłacało, niż posyłanie dzieci do wyżej wymienionych miast, gdzie były prawie że bezpłatne szkoły rządowe. Do ośmioklasowego gimnazjum szedł uczeń po czwartej klasie szkoły ludowej.

W 1910 r. w Kolbuszowej grono inteligentów powołało do życia Towarzystwo Szkoły Gimnazjalnej Męskiej, które starało się u władz krajowych we Lwowie o pozwolenie na otwarcie, w ich mieście, z dniem 1 września 1911 r. Prywatnego Gimnazjum. Towarzystwo dostało, z początkiem 1911 r., pozwolenie na otwarcie, z dniem 1.IX. pierwszej klasy gimnazjalnej i ogłosiło do niej wpisy. Mówił o tym ksiądz na ambonie i ogłaszały to afisze. Towarzystwo nie miało jednak lokalu i wykwalifikowanych nauczycieli. Nauka jednak rozpoczęła się 1.IX., po południu, w jednej z klas Szkoły Męskiej. Przystąpiło do niej kilkudziesięciu chłopców i - jedenaście przyjętych, jednak dziewcząt. Ja byłam jedną z nich.

Z nauczaniem dziecka w szkole średniej, w gimnazjum, wchodził wtedy do jego domu, razem z językiem łacińskim i greckim, nowy, wielki świat. Wchodziła kultura. Ja odczułam to we wczesnym dzieciństwie, gdy Rodzice posłali mojego brata Romana na naukę w Gimnazjum w Łańcucie. Poszły się uczyć, na nauczycielki, moje starsze koleżanki: Maria Jabłońska i Janina Siekierska. Ja wtedy także postanowiłam, że zostanę nauczycielką i na dowód tego nosiłam zawsze, przy sobie, podręcznik brata Romka, z języka łacińskiego z I klasy gimnazjalnej. Ale nasza rodzina żyła z jednej tylko, niewysokiej urzędniczej pensji Ojca i Rodzice nie myśleli o kształceniu innego dziecka, poza pierworodnym synem Romanem. Myśleli o budowie nowego domu w miejsce posiadanego, starego, małego i ciasnego. Ja pokrzyżowałam im szyki w jedenastym roku mojego życia. Zapisalam się do nowo otwieranego, kolbuszowskiego Gimnazjum.

Na wiosnę 1911 r. Ojciec nasz przystąpił do burzenia starego domu i budowania nowego. Poprosił sąsiadów o przyjęcie do siebie, na czas budowy, nas, starszych jego dzieci. Mnie wzięli do siebie bezdzietni - Wiktor Winiarski, masarz, z żoną Wiktoria z Dudzińskich. Powiedziałam im o swoim pragnieniu uczenia się w gimnazjum i oni starali się mi pomóc. Dali mi łaskawie - pięć koron, potrzebne na opłacenie wpisowego i obiecali wspierać w dalszej nauce. Bez wiedzy rodziców zapisałam się do pierwszej klasy gimnazjalnej, złożyłam pomyślnie, egzamin i zostałam do niej przyjęta. Gdy uradowana, powiedziałam o tym rodzicom, wybuchła burza. Ja lałam rzęsiste łzy - i zostałam w nowej szkole. A zapisałam się do niej i składałam egzamin z Gieni Jabłońska, moją sąsiadką, rówieśnicą i najserdeczniejszą przyjaciółką.

W roku szkolnym 1911-1912, pierwszym roku istnienia kolbuszowskiego Gimnazjum, nauka odbywała się, jak już wspomniałam, po południu w sali Szkoły Męskiej, koło kościoła. Kierownikiem naszym był pan Michał Mróz, kierownik Szkoły Męskiej, a uczyli nas jej nauczyciele, z panem

"Antosiem" Winiarskim na czele. W jesieni i zimie klasa była wyziębiona po rannym paleniu i nie zamieciona po dopołudniowych zajęciach. Posiadała czarną tablicę, nad nią krzyż i portret cesarza Franciszka Józefa, stół na podium, zwany stopniami, dla nauczyciela i ławki. Ławki dla uczniów długie, cztero- czy pięcioosobowe, stare, wysłużone. Spotkałyśmy się w nich, po raz pierwszy w szkole, z chłopcami. Oprócz mnie i Gieni Jabłońskiej z dziewcząt w klasie były: Jadwiga Augustynowicz, Janina Biedów-na, Maria Bielecka, Anna Gawęcka, Maria Januszewska, Maria Kaczor, Emilia Łuczyńska, Maria Rozmus i Fanny Sontag. Chłopcy byli od nas, przeważnie, rok, dwa, czy trzy lata starsi. Jednym z nich był Leopold Markusiewicz, mój kuzyn, drugim - Władysław Niezgoda, mój późniejszy szwagier. Mieliśmy trochę podręczników, mapy monarchii austriackiej i mapy Europy. Nauczanie było, właściwie, kursem przygotowawczym do drugiej klasy gimnazjalnej. Religii uczył nas ks. Józef Chrzaszcz, a kilku przedmiotów Stanisław Przybyło, wtedy już mąż Marii Borońskiej.

Na rok szkolny 1912-1913, drugi rok naszej gimnazjalnej nauki Zarząd Towarzystwa wynajął dla Gimnazjum, mającego już dwie klasy, pierwszą i drugą, osobny budynek szkolny, porządny dom Marcina Osiniaka, stojący na skraju Kolbuszowej Dolnej i uzyskał dyrektora i dwóch profesorów dla szkoły. Budynek stał prawie naprzeciw początku drogi do Weryni. Dyrektorem szkoły został Franciszek Sołtysik, a profesorami - Marian Bielawka, kolbuszowianin i Henryk Moese, przybysz, jak i F. Sołtysik. Koło budynku znajdowało się spore podwórze - łąka, ciągnące się do rzeki Nil. W roku szkolnym 1913-1914, gdy byłam już w trzeciej klasie, przybył prof. Polcyn. Jednak nadużywał on alkoholu i wkrótce musiał opuścić nasze proggi. Był też prof. Dubanik.

Ja bardzo lubiłam się uczyć i każdy dzień, spędzony w murach szkolnych i potem, w domu, przy książkach, sprawiał mi olbrzymią radość. Ale wnet, bo w sierpniu 1914 r. wybuchła pierwsza wojna światowa i zdezorganizowała całe nasze życie. Władze austriackie zabierały mężczyzn do wojska. Niedługo, bo we wrześniu, ludzie uciekali w popłochu na południe przed inwazją Rosjan. Rosjanie przyszli i byli przez kilka miesięcy. Zabierali żywność i inne rzeczy. Drzwi, okna wielu domów i sprzęty z nich rąbali na opał w jesieni i zimie.

W roku szkolnym 1914-1915 w naszym Gimnazjum nie było nauki. Panowały marazm i smutek. Przyszła wiadomość, że prof. Aleksander Dubanik zginął w działaniach wojennych. Wcześniej, bo jeszcze w sierpniu 1914 r. kilku naszych kolegów -gimnazjalistów zgłosiło się ochotniczo do Legionów Polskich, mających walczyć o wolną Polskę. Mój brat Roman także się zgłosił i już nie wrócił.

Na wiosnę 1915 r. Rosjanie odeszli. Powróciły władze austriackie i galicyjskie. We wrześniu tego roku szkoły zaczęły u nas pracować. Moja czwarta klasa gimnazjalna była nieliczna. Brakło kilku chłopców. Przybyli,



nowy dyrektor dr Tadeusz Mendrys i prof. Michał Wołłowicz, bardzo przystojny człowiek, utalentowany wykładowca geografii. Ale w 1916 r., na początku drugiego półrocza, została zachwiana organizacja naszej szkoły. Władze szkolne we Lwowie nie przyznały jej, z niewiadomego bliżej powodu - prawa publiczności. Dzięki temu prawu Gimnazjum mogło wydawać świadectwa, dowody ukończenia roku szkolnego. Nie mając prawa publiczności, nie mogło wydać takich świadectw. Władze szkolne wskazały, jako wyjście z zaistniałej sytuacji, możliwość ukończenia przez nas tego roku szkolnego i zdawanie egzaminu sprawdzającego z przepracowanego materiału w gimnazjum państwowym w którymś z pobliskich miast.

Gimnazjum w Kolbuszowej liczyło wtedy czterdziestu uczniów w czterech klasach. Ja byłam w czwartej, najstarszej wówczas klasie. Żeby dać nam możliwość ukończenia naszych klas, *zarząd* Towarzystwa Szkoły gimnazjalnej i Dyrekcja naszej szkoły zwrócili się, z prośbą o przeegzaminowanie nas, do Dyrekcji Gimnazjum Państwowego w Mielcu. Dyrekcja ta wyraziła zgodę. Na wiosnę 1916 r., przy końcu roku szkolnego zostaliśmy zawiezieni na furmankach do Mielca, gdzie byliśmy egzaminowani pisemnie i ustnie z każdego przedmiotu szkolnego. Przedmiotów było kilka, więc i egzamin musiał trwać kilka dni. Nie mogliśmy także jeździć codziennie do Mielca. Dyrektor mieleckiego Gimnazjum, mający akuratne nazwisko Tyran, postąpił łaskawie wobec nas i część naszej gromady umieścił, na dni egzaminu, w Bursie tej szkoły, dla reszty zaś nas znalazł kwatery w domach prywatnych, u rodziców swoich uczniów. Ja mieszkałam w domu prywatnym, co było dla mnie dodatkową atrakcją. Mielczanie - rodzice byli dla nas bardzo mili, natomiast profesorowie Gimnazjum byli, w czasie egzaminów, niezmiernie urzędowi. Egzaminowali nas bez uśmiechu, czy nawet łagodnego, weselszego drgnienia oka. Byliśmy jednak dobrze przygotowani i, chyba, nikt z nas nie "oblał". A mieliśmy, nie raz, "duszę na ramieniu". Był z nami prof. Wołłowicz. Dostaliśmy oryginalne świadectwa Państwowego cesarsko-królewskiego Gimnazjum mieleckiego.

W tym samym, bardzo ciężkim dla nas roku, nie utworzono w Gimnazjum w Kolbuszowej, we wrześniu, klasy piątej i my, uczniowie i uczennice, mający uczyć się w tej klasie, znaleźliśmy się w sytuacji kryzysowej. Stało przed nami pytanie, co robić dalej, żeby nie zmarnować dotychczasowych czterech lat nauki. Jednych z nas rodzice przenieśli do szkół w sąsiednich miastach. Innych przygotowywał, prywatnie, nauczyciel Marian Antoni Winiarski, do wstąpienia do Seminarium Nauczycielskiego w Rzeszowie czy gdzie indziej. Mój drogi, wspaniały Ojciec znalazł jakichś znajomych w Krakowie i - posłał mnie tam do Gimnazjum. W tym roku mój brat Roman zginął w Legionach, a cesarze Niemiec i Austrii ogłosili, że utworzą, po wojnie, z ziem polskich, odebranych Rosji, Królestwo Polskie. W Polaków wstępowały nowe nadzieje.

Państwo polskie, II Rzeczypospolita powstała, nie z łaski obcych cesarzy,

ale z woli narodu polskiego, w listopadzie 1918 r. Ja w następnym roku, na wiosnę, skończyłam Gimnazjum i Kurs Nauczycielski i zostałam nauczycielką. Gimnazjum w Kolbuszowej, dalej prywatne, odbudowywało się w nowych warunkach i dźwigało na wyższy poziom, będąc jedyną szkołą średnią w powiecie, ośrodkiem nauki i kultury, tak potrzebnej niepodległej Polsce, cudem zmartwychwstałej z półtorawiekowej niewoli.